

SEZON
BURZ

*Od upiorów, od potępieńców,
od stworów długolapych
I od istot, co nocą łomocą
Zbaw nas, dobry Boże!*
Modlitwa błagalna znana jako
„The Cornish Litany”,
datowana na ww. XIV–XV

*Mówią, że postęp rozjaśnia mroki. Ale zawsze,
zawsze będzie istniała ciemność. I zawsze będzie
w ciemności Zło, zawsze będą w ciemności kły
i pazury, mord i krew. Zawsze będą istoty, co nocą
łomocą. A my, wiedźmini, jesteśmy od tego,
by przyłomotać im.*
Vesemir z Kaer Morhen

ANDRZEJ
SAPKOWSKI

SEZON
BURZ

W I E D Ź M I N

super**NOWA**
WARSZAWA

Opracowanie graficzne Tomasz Piorunowski

ISBN 978-83-7578-059-8

Copyright © by Andrzej Sapkowski, Warszawa 2013

Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWA sp. z o.o.

Biuro Handlowe
ul. Nowowiejska 10/12
00-653 Warszawa
e-mail: redakcja@supernowa.pl

Redaktor naczelny Mirosław Kowalski

Skład LogoScript sp z o.o.
Druk i oprawa
WZDZ – Drukarnia LEGA, Opole

Ten, kto walczy z potworami, niechaj baczy, by sam nie stał się potworem. Gdy długo spoglądasz w otchłań, otchłań patrzy też w ciebie.

Friedrich Nietzsche, *Jenseits von Gut und Böse*

Spoglądanie w otchłań mam za zupełny idiotyzm. Na świecie jest mnóstwo rzeczy o wiele bardziej godnych tego, by w nie spoglądać.

Jaskier, *Pół wieku poezji*

Rozdział pierwszy

Żył tylko po to, by zabijać.

Leżał na nagrzanym słońcem piasku.

Wyczuwał drgania, przenoszone przez przyciśnięte do podłoża włosowate czułki i szczecinki. Choć drgania wciąż były odległe, Idr czuł je wyraźnie i dokładnie, na ich podstawie zdolny był określić nie tylko kierunek i tempo poruszania się ofiary, ale i jej wagę. Dla większości podobnie polujących drapieżników waga zdobyczy miała znaczenie pierwszorzędne – podkradanie się, atak i pościg oznaczały utratę energii, która musiała być zrekompensowana energetyczną wartością pożywienia. Większość podobnych Idrowi drapieżników rezygnowała z ataku, gdy zdobycz była zbyt mała. Ale nie Idr. Idr egzystował nie po to, by jeść i podtrzymywać gatunek. Nie po to go stworzono.

Żył po to, by zabijać.

Ostrożnie przesuwając odnóża wylazł z wykrotu, przepelźł przez zmurszały pień, trzema susami pokonał wiatrołom, jak duch przemknął przez polanę, zapadł w porośnięte paprocią poszycie lasu, wtopił się

w gęstwinę. Poruszał się szybko i bezszelestnie, już to biegnąc, już to skacząc niby ogromny pasikonik.

Zapadł w chruśniak, przywarł do podłoża segmentowanym pancierzem brzucha. Drgania gruntu stawały się coraz wyraźniejsze. Impulsy z wibrysów i szczecinek Idr układały się w obraz. W plan. Idr wiedział już, któredy dotrzeć do ofiary, w którym miejscu przeciąć jej drogę, jak zmusić do ucieczki, jak długim skokiem spaść na nią od tyłu, na jakiej wysokości uderzyć i ciąć ostrymi jak brzytwy zuwaczkami. Drgania i impulsy budowały już w nim radość, jakiej dozna, gdy ofiara zaszamocze się pod jego ciężarem, euforię, jaką sprawi mu smak gorącej krwi. Rozkosz, jaką odczuje, gdy powietrze rozerwie wrzask bólu. Dygotał lekko, rozwierając i zwierając szczypce i nogogłaszczki.

Wibracje podłoża były bardzo wyraźne, stały się też zróżnicowane. Idr wiedział już, że ofiar było więcej, prawdopodobnie trzy, być może cztery. Dwie wstrząsały gruntem w sposób zwykły, drgania trzeciej wskazywały na małą masę i wagę. Czwarta zaś – o ile faktycznie była jakaś czwarta – powodowała wibracje nieregularne, słabe i niepewne. Idr znieruchomiał, wyprężył i wystawił anteny nad trawy, badał ruchy powietrza.

Drgania gruntu zasygnalizowały wreszcie to, na co Idr czekał. Ofiary rozdzieliły się. Jedna, ta najmniejsza, została z tyłu. A ta czwarta, ta niewyraźna, znikła. Był to fałszywy sygnał, kłamliwe echo. Idr zlekceważył je.

Mała zdobycz jeszcze bardziej oddaliła się od pozostałych. Grunt zadygotał silniej. I bliżej. Idr wyprężył tylne odnóża, odbił się i skoczył.



Dziewczynka krzyknęła przeraźliwie. Miast uciekać, zamarła w miejscu. I krzyczała bez przerwy.



Wiedźmin rzucił się w jej stronę, w skoku dobywając miecza. I natychmiast zorientował się, że coś jest nie tak. Że został wyprowadzony w pole.

Ciągnący wózek z chrustem mężczyzna wrzasnął i na oczach Geralta wyleciał na sążen w górę, a krew trysnęła z niego szeroko i rozbryzgliwie. Spadł, by natychmiast wylecieć ponownie, tym razem w dwóch buchających krwią kawałkach. Już nie krzyczał. Teraz przeszywająco krzyczała kobieta, podobnie jak jej córka zamarła i sparaliżowana strachem.

Choć nie wierzył, że mu się uda, wiedźmin zdołał ją ocalić. Dосkoczył i pchnął z mocą, odrzucając obryzganą krwią kobietę z dróżki w las, w paprocie. I z miejsca pojął, że i tym razem to był podstęp. Fortel. Szary, płaski, wielonożny i niewiarygodnie szybki kształt oddalał się już bowiem od wózka i pierwszej ofiary. Sunął w kierunku drugiej. Ku wciąż piszczącej dziewczynce. Geralt rzucił się za nim.

Gdyby nadal tkwiła w miejscu, nie zdążyłby na czas. Dziewczynka wykazała jednak przytomność umysłu i rzuciła się do dzikiej ucieczki. Szary potwór dopędziłby ją jednak szybko i bez wysiłku – dopędziłby, zabił i zawrócił, by zamordować również kobietę. I tak by się stało, gdyby nie było tam wiedźmina.

Dogonił potwora, skoczył, przygniatając obcasem jedno z tylnych odnóży. Gdyby nie natychmiastowy odskok, straciłby nogę – szary stwór wykręcił się z niesamowitą zwinnością, a jego sierpowate szczypcy kłapnęły, chybiając o włos. Nim wiedźmin odzyskał równowagę, potwór odbił się od ziemi i zaatako-

wał. Geralt obronił się odruchowym, szerokim i dość chaotycznym ciosem miecza, odtrącił potwora. Obrażen mu nie zadał, ale odzyskał inicjatywę.

Zerwał się, dopadł, tnąc od ucha, rozwalając pancerz na płaskim głowotułowiu. Nim oszołomiony stwór się opamiętał, drugim ciosem odsiekł mu lewą zuwaczkę. Potwór rzucił się na niego, machając łapami, usiłując pozostałą zuwaczką ubóść go jak tur. Wiedźmin odrąbał mu i tę drugą. Szybkim odwrotnym cięciem odchlastał jedną z nogogłaszczek. I ponownie rąbnął w głowotułów.



Do Idra dotarło wreszcie, że jest w niebezpieczeństwie. Że musi uciekać. Musiał uciekać, uciekać daleko, zaszyć się gdzieś, zapaść w ukrycie. Żył tylko po to, by zabijać. Żeby zabijać, musiał się zregenerować. Musiał uciekać... Uciekać...



Wiedźmin nie dał mu uciec. Dognał, przydeptał tylny segment tułowia, ciął z góry, z rozmachem. Tym razem pancerz głowotułowia ustąpił, z pęknięcia trysnęła i poląła się gęsta zielonawa posoka. Potwór szamotał się, jego odnóża dziko młóciły ziemię.

Geralt ciął mieczem, tym razem całkiem oddzielając płaski łeb od reszty.

Oddychał ciężko.

Z oddali zagrzmiało. Zrywający się wichery i szybko czerniejące niebo zwiastowały naciągającą burzę.



Albert Smulka, nowo mianowany żupan gminny, już przy pierwszym spotkaniu skojarzył się Geraltowi

z bulwą brukwi – był okrągławy, niedomyty, gruboskórny i ogólnie raczej nieciekawym. Innymi słowy, niezbyt różnił się od innych urzędników stopnia gminnego, z jakimi przychodziło mu się kontaktować.

– Wychodzi, że prawda – powiedział żupan. – Że na kłopoty nie masz jak wiedźmin.

– Jonas, mój poprzednik – podjął po chwili, nie doczekawszy się ze strony Geralta żadnej reakcji – nachwalić się ciebie nie mógł, Pomyśleć, że miał za łgarza. Znaczący, że mu nie całkiem wiarę dawał. Wiem, jak to rzeczy w bajki obrastać potrafią. Zwłaszcza u ludu ciemnego, u tego co i rusz albo cud, albo dziw, albo inny jakiś wiedźmin o mocach nadludzkich. A tu masz, pokazuje się, prawda szczerą. Tam, w boru, za rzeczulką, ludzi poginęło, że nie zliczyć. A że tamtędy do miasteczka droga krótsza, tedy i chodzili, durnie... Na zgubę własną. Nie zważając na przestrogi. Ninie taki czas, że lepiej nie szwendać się po pustkowiach, nie łązić po lasach. Wszędzie potwory, wszędzie ludojady. W Temerii, na Tukajskim Pogórzu, dopiero co straszna rzecz się wydarzyła, piętnaścioro ludzi ubił w węglarskiej osadzie jakiś upiór leśny. Rogowizna zwała się ta osada. Słyszałeś pewnie. Nie? Ale prawdę mówię, że bym tak skonał. Nawet czarnoksiężnicy pono śledztwo w owej Rogowiznie czynili. No, ale co tam bając. My ninie tu w Ansegis bezpieczni. Dzięki tobie.

Wyjął z komody szkatułę. Rozłożył na stole arkusz papieru, umoczył pióro w kałamarzu.

– Obiecałeś, że strasznyło zabijesz – powiedział, nie unosząc głowy. – Wychodzi, klimkiem nie rzuciłeś. Słownyś, jak na włóczęgę... A i takim ludziom życie uratowałeś. Babie i dziewczusze. Podziękowały choć? Padły do nóg?

Nie padły, zacisnął szczęki wiedźmin. Bo jeszcze nie całkiem oprzytomniały. A ja stąd odjadę, zanim oprzytomnieją. Zanim pojmą, że wykorzystałem je jako przynętę, w zarozumiałym zadufaniu przekonany, że zdołam obronić całą trójkę. Odjadę, zanim do dziewczynki dotrze, zanim zrozumie, że to z mojej winy jest pólsierotą.

Czuł się źle. Zapewne był to skutek zażytych przed walką eliksirów. Zapewne.

– Tamto monstrum – żupan posypał papier piaskiem, po czym strząsnął piasek na podłogę – prawdziwa ohyda. Przyjrzałem się padlinie, gdy przynieśli... Co to takiego było?

Geralt nie miał w tym względzie pewności, ale nie zamierzał się z tym zdradzać.

– Arachnomorf.

Albert Smulka poruszył wargami, nadaremnie usiłując powtórzyć.

– Tfu, jak zwał, tak zwał, pies z nim tańczył. To tym mieczem go zasiakłeś? Tą klingą? Można obejrzeć?

– Nie można.

– Ha, bo zaczarowany brzeszczot pewnie. I musi drogi... Łakomy kąsek... No, ale my tu gadu-gadu, a czas bieży. Umowa wykonana, pora na zapłatę. A wprzód formalności. Pokwituj na fakturze. Znaczący, postaw krzyżyk albo inny znak.

Wiedźmin ujął podany mu rachunek, obrócił się ku światłu.

– Patrzajcie go – pokręcił głową żupan, wykrzywiając się. – Niby co, czytać umie?

Geralt położył papier na stole, popchnął w stronę urzędnika.

– Mały błąd – rzekł spokojnie i cicho – wkradł się do dokumentu. Umawialiśmy się na pięćdziesiąt koron. Faktura wystawiona jest na osiemdziesiąt.

Albert Smulka złożył dłonie, oparł na nich podbródek.

– To nie błąd – też zniżył głos. – To raczej dowód uznania. Zabiłeś straszne straszzydło, niełatwa to pewnością była robota... Kwota nikogo tedy nie zdziwi...

– Nie rozumiem.

– Akurat. Nie udawaj niewiniątka. Chcesz mi wmówić, że Jonas, gdy tu rządził, nie wystawiał ci takich faktur? Głowę daję, że...

– Że co? – przerwał Geralt. – Że zawyżał rachunki? A różnicą, o którą uszczuplał królewski skarbiec, dzielił się ze mną po połowie?

– Po połowie? – Żupan skrzywił usta. – Bez przesady, wiedźminie, bez przesady. Myślałby kto, żeś taki ważny. Z różnicy dostaniesz jedną trzecią. Dzieś się koron. Dla ciebie to i tak duża premia. A mnie więcej się należy, choćby z racji funkcji. Urzędnicy państwowi winni być majątni. Im urzędnik państwowy majątniejszy, tym prestiż państwa wyższy. Co ty możesz zresztą o tym wiedzieć. Nuży mnie już ta rozmowa. Podpiszesz fakturę czy nie?

Deszcz dudnił o dach, na zewnątrz lało jak z cebra. Ale nie grzmiało już, burza oddalała się.

SEZON BURZ

WIEDŹMIŃ



kup teraz

allegro